



SAGA
EGMONT



Straszliwe zdarzenie

MAURICE LEBLANC



 SAGA
EGMONT

Straszliwe zdarzenie

MAURICE LEBLANC

Maurice Leblanc

Straszliwe zdarzenie

Tłumaczenie Anonim

Saga

Straszliwe zdarzenie
Tłumaczenie
Anonim
Tytuł oryginału
Le Formidable Événement
Zdjęcie na okładce: Shutterstock
Copyright © 1928, 2020 Maurice Leblanc i SAGA Egmont
Wszystkie prawa zastrzeżone
ISBN: 9788726426915

1. Wydanie w formie e-booka, 2020
Format: EPUB 2.0

Ta książka jest chroniona prawem autorskim. Kopiowanie do celów innych niż do użytku własnego jest dozwolone wyłącznie za zgodą SAGA Egmont oraz autora.

SAGA Egmont, spółka wydawnictwa Egmont

PRZEDMOWA.

Straszliwy kataklizm z dnia 4 marca, którego skutki bardziej jeszcze niż wojna wpłynęły na ukształtowanie się stosunków dwóch wielkich państw zachodnich, wywołuje już od lat pięćdziesięciu bujny rozkwit wspomnień, pamiętników, studjów, relacyj źródłowych i opowiadań fantastycznych. Świadkowie opowiedzieli swe wrażenia. Dzienniki powydawały zbiory artykułów. Uczni opracowali poważne i fachowe dzieła. Powieściopisarze napisali ciekawe dramaty i romanse. Poeci rymami opiewali wiekopomne zdarzenie.

Do pełnego obrazu tego przełomu brakło świadectwa najważniejszego: słowa Szymona Dubosc. Jedyne z opowiadań reporterskich, częstokroć niedokładnych lub fantastycznych, znało się rolę bohatera, którego najpierw przypadek, potem niesłychana odwaga i entuzjastyczna przedsiębiorczość rzuciły w samo serce kotłujących się wypadków.

Dzisiaj, gdy narody zgrupowały się dookoła posągu, wzniesionego na arenie, gdzie walczył bohater, koniecznem jest do wieńców legend dorzucić snop prawdy. Zapewne, może niejednemu się zdaje, że prawda ta dotyka zbyt blisko prywatnego życia człowieka — ale czyż fakt ten jest powodem do jej ukrywania?

Szymon Dubosc należy dziś już bowiem do historii.

CZĘŚĆ PIERWSZA.
WILHELM ZDOBYWCA.

I.

OŚWIADCZYNY.

— Ach!, ależ to naprawdę straszne! — zawołał Szymon Dubosc. Posłuchaj, Edwardzie.

I odciągając przyjaciela swego na bok od stolików, zastawionych na terasie pawilonu, pokazał mu w dodatku do „Ostatnich Wiadomości”, które motocyklista właśnie przywiózł do New-Golfu, telegram, wydrukowany tłustymi literami:

„20 maja Boulogne. Właściciel i załoga czółna rybackiego, przybyłego do portu, oświadczyli, że dziś rano „w równej odległości od wybrzeża francuskiego i angielskiego widzieli duży statek, porwany przez olbrzymią „trąbę wodną. Statek uniósł się wysoko, poczem prze„wrócił się i znikł w odmęcie w przeciągu kilku sekund.

„Powstały wówczas wiry szalone, a morze, dotychczas „spokojne, wzburzyło się tak niezwykle, że rybacy musieli „uciekać, wiosłując z całych sił, by jaknajdalej znaleźć się „od miejsca katastrofy, gdzie mogłoby ich z łatwością „porwać to niesłychane zjawisko. Władze morskie wysy„łają natychmiast dwa statki na owo miejsce”.

— *No, co sądzisz o tem, Edwardzie?*

— Tak, to rzecz straszna, odpowiedział Edward Rolleston. Przedwczoraj zatonięcie „Ville de Dunkerque”. Dzisiaj inny

okręt w tychże okolicach. Musi w tem być jakaś wspólna przyczyna.

— To samo powiada drugi telegram, rzekł Dubosc, czytając dalej gazetę.

„Godzina 15 Londyn. Zatonięty okręt był transportowcem transatlantyckim Towarzystwa Rotterdam—Ame„rica i przewoził tysiąc dwieście pasażerów oraz ośmiuset „ludzi załogi. Dotychczas nie znaleziono ani jednego ży„wego rozbitka. Trupy zaczynają już wypływać.

„Nie można przeczyć, że ta krew mrożąca w żyłach „katastrofa, zarówno jak zatonięcie onegdajsze „Ville de „Dunkerque” spowodowane jest przez jakieś niezwykle „fenomeny, wstrząsające wodami Pas-de-Calais już od tygodnia, a które oprócz zatonięcia statków „Brabant” „i Ville de Dunkerque” o mało nie wywołało ofiar innych „okrętów”.

Przyjaciele zamilkli. Oparci o balustradę, okalającą terasę klubu, wpatrywali się w niezmierzone przestrzenie morza. Było ono spokojne, jakby uśmiechnięte uprzejmie, bez złości i zdrady, przy brzegu porysowane w wąskie linijki zielone i żółte, dalej czyste i błękitne jak powietrze, a jeszcze dalej, pod nieruchomemi, zda się, obłokami, szare jak wielka tablica łupku.

Ale ponad Brighton, słońce, zachodzące już poza pasmo wzgórzy, ukazało swą tarczę i na morzu rozsypał się deszcz iskier złotych i ognistych.

— Perfidne! — rzekł Szymon Dubosc, który chociaż dobrze znał język angielski, w rozmowie z przyjacielem swym Anglikiem, używał zawsze mowy francuskiej — perfidne! Jakie ono jest piękne i pociągające! Patrząc na jego spokój, czyż można przypuszczać, że miewa ono swoje

złośliwe kaprysy, kaprysy niszczycielskie i zabijające! A ty naprawdę chcesz dzisiaj wieczorem jechać, Edwardzie?

— Tak jest. Przez Newhaven i Dieppe.

— Podróż powinna udać się dobrze. Morze dostało już swoje ofiary, jest więc nasycone. Ale czego właściwie tak się spieszysz?

— Jutro rano mam w Dieppe umówione spotkanie z marynarzami. Biorę załogę do mego jachtu. Popołudniu zamierzam być w Paryżu, a za tydzień będę płynął do Norwegji. A ty, Szymonie?

Szymon Dubosc nie odpowiedział, bo odwrócony w stronę pawilonu klubu wpatrywał się w jego okna, gdzie zachodzące słońce zapalało czerwone błyski. Grający w golfa opuścili już swoje *links* i rozsypali się w grupach dokoła stolików pod różnobarwnymi parasolami. Podawano herbatę. Dodatki „Ostatnich Wiadomości” kursowały z rąk do rąk, komentowano telegramy z nadzwyczajnym ożywieniem. Przy niektórych stolikach skupiała się młodzież, panowie i panny, przy innych siedzieli rodzice, a przy innych znów starsi dżentelmeni pokrzepiali swe siły, zjadając poważne ilości cakes i kanapek.

Na lewo, poniżej klombów kwiecistych, zaczynały się łagodne undulacje *links* pokryte aksamitem świeżej zieleni gazonu. Zdaleka widać było ostatniego gracza o majestatycznej i wysokiej postawie.

— Córka lorda i jej trzy towarzyszki nie spuszczają ciebie z oczu, rzekł Edward.

Szymon uśmiechnął się lekko.

— Miss Bakefield patrzy na mnie, bo wie, że ją kocham, a jej trzy przyjaciółki wiedzą również, że ja kocham miss Bakefield. Młody człowiek, który kocha, jest zawsze widokiem przyjemnym dla tej, która jest kochana, a irytującym dla tych, które nie są kochane.

Zdanie to Szymon wyrzekł poprostu, bez najlżejszego akcentu próżności. A może miałyby ku niej niejaki powody, był on bowiem typem niezwykłym, człowiekiem, jednoczącym w sobie męskość z niesłychanym urokiem. Wyraz jego twarzy oczy niebieskie, uśmiech i to coś indywidualnego, będącego połączeniem mocy, zręczności, zdrowej wesołości, ufności we własne siły i ufności w życie, wszystko to składało się na całość, tchnącą czarem młodości i jakiegoś nieprzepartego uroku.

Zamiłowany w sporcie, dojrzewał właśnie z tą generacją Francuzów powojennych, którzy wysoko postawili sztandar kultury fizycznej. Ruchy jego miały harmonję, jaką rozwija jedynie długie ćwiczenie logiczne, ale jaką wysubtelnia życie intelektualne, studjowanie sztuk pięknych i poczucie estetyki we wszystkim. Zdanie matury i koniec nauk nie były dla niego, jak dla wielu innych, początkiem życia nowego. Jeżeli nadmiar energii zmusił go do wyładowywania się w ambicjach atletycznych i rekordach na stadionach Europy i Ameryki, mimo to nie zgodził się nigdy na opanowanie ducha przez ciało. W wirze matchów i zapasów umiał zawsze zachować dla siebie dwietrzy godziny samotności, poświęcając je na czytanie lub rozważanie. Tym sposobem nie robił przerw w nauce, studjując z zapalem ucznia gimnazjalnego i kształcąc się w różnych gałęziach wiedzy.

Ojciec jego, z którym łączyło go serdeczne uczucie, dziwił się często:

— Powiedz mi, Szymonie, do czego dążysz? Jaki jest twój cel?

— Ćwiczę się.

— Ale w jakim celu?

— Nie wiem. Dla każdego z nas bije godzina, kiedy trzeba być gotowym, uzbrojonym, i mieć głowę i mięśnie w porządku. Ja będę gotów.

I tak doszedł do lat trzydziestu. Na początku roku w Nizy poznał za pośrednictwem Edwarda Rolleston miss Bakefield.

— Zapewne zobaczę się z ojcem twoim w Dieppe, powiedział Rolleston. Będzie zdziwiony, że nie wracasz ze mną, jak to było ułożone w zeszłym miesiącu. Co mam jemu powiedzieć.

— Powiedz mu, że zostaję jeszcze czas jakiś tutaj... albo nie... nie mów nic... napiszę do niego... może jutro... albo pojutrze...

Schwycił za ramię Edwarda.

— Słuchaj, drogi, słuchaj... jeżelibym oświadczył się o rękę miss Bakefield jej ojcu, coby z tego wynikło, jak sądzisz?

Twarz Edwarda Rollestona wyrażała zdumienie.

Po chwili wahania odpowiedział:

— Ojciec miss Bakefield nazywa się lord Bakefield, a może nie wiesz, że matka miss Bakefield, ta cudowna lady Konstancja, nieżyjąca już od lat sześciu, była prawnuczką jednego ze synów Jerzego III. W żyłach jej więc płynęła krew błękitna z domieszką jednej ósmej krwi królewskiej.

Edward Rolleston wymówił słowa te z takim namaszczeniem, że Szymon, jako Francuz czystej krwi, lekceważący przesady kastowości, nie mógł powstrzymać się od śmiechu.

— Hm! Jedna ósma! Tym sposobem miss Bakefield może poszczycić się jedną szesnastą, a dzieci jej będą korzystały z przywilejów jednej trzydziestej drugiej krwi królewskiej! Szanse moje zmniejszają się. Co się tyczy krwi królewskiej, mogę wykazać się jednym z przodków, kiełbaśnikiem z zawodu, który głosował za skazaniem na śmierć Ludwika XVI... Mało, bardzo mało...

Położył Edwardowi rękę na ramieniu.

— Słuchaj, drogi, wyświadczyć mi przysługę. Miss Bakefield jest sama w tej chwili. Zabaw rozmową jej przyjaciółki, bym mógł pomówić z nią sam na sam...

Edward Rolleston, towarzysz sportowy Szymona, przedstawiał typ młodzieńca bardzo bladego i chudego, zbyt wyrosniętego, tak, że zwykle trzymał się nieco pochyło. Szymon znał jego wady, między innymi wielkie zamiłowanie do whisky, do bywania w szulerniach i życia wystawnego bez wiadomych dochodów. Ale poza tym był to towarzysz wierny, oddany i Szymon wyczuwał w nim przywiązanie do swojej osoby oraz cechy prawości.

Przybliżyli się do grupy pań. Edward zajął miejsce obok trzech przyjaciółek, podczas gdy miss Bakefield podeszła do Szymona.

Panna miała na sobie suknię białą, bardzo skromną, prostą w kroju, bez żadnych ozdób, tworzących kaprysy mody. Jej odsłonięta szyja, ręce, widoczne poprzez cienki muślin rękawów, twarz i czoło miały ten ciepły odcień, jaki nadaje skórze niektórych blondynek słońce i stałe przebywanie na powietrzu. Złote punkciki igrały w jej prawie czarnych źrenicach. Piękne, jasne włosy, o połysku metalicznym, związane były na karku w ciężki węzeł. Ale szczegółów tych nie dostrzegało się odrazu, oko bowiem z upodobaniem obejmowało całą śliczną, zgrabnie wyrosniętą postać, tworzącą niezwykle harmonijną całość.

Nic dziwnego, że Szymon Dubosc, mimo swej całej odwagi, bladł zawsze trochę pod spojrzeniem pięknej miss Bakefield, chociaż wzrok jej, spoczywający na nim, był łagodny i miękki...

Po przywitaniu Szymon odezwał się:

— Czy jesteś wciąż zdecydowana, Izabello?

— Dziś tak samo jak wczoraj, odrzekła z uśmiechem, a jutro będę jeszcze bardziej może, gdy nadejdzie chwila działania.

— Jednakże... znamy się zaledwie cztery miesiące...

— To znaczy?

— To znaczy, że w chwili, gdy ma się spełnić fakt nieodwołalny, zwracam się do twego rozsądku...

— Nie do mej miłości?... Ależ od chwili, gdy cię Kocham, Szymonie, nie mogłam jeszcze zrobić najmniejszego rozdźwięku między moim rozsądkiem a moim uczuciem. I tak jadę więc jutro rano z tobą razem...

— Izabello...

— Więc wolisz może, żebym jutro wieczorem odjechała z moim ojcem? Podróż ta trwałaby trzy, cztery lata... Ojciec żąda tego odemnie. A teraz wybieraj i decyduj.

— Słowa te, o tak doniosłem dla obojga znaczeniu, padały spokojnie; wzruszeni do głębi, zachowali obojętną maskę twarzy. Samo poczucie bliskości dawało im wielką moc i energję. Izabella, zarówno jak Szymon, odznaczała się pięknym wzrostem, smukłością i piękną budową i oboje podświadomie odczuwali, że tworzą parę uprzywilejowaną, że są ludźmi, wybranymi przez los do życia bardziej intensywnego, potężniejszego i szlachetniejszego.

— Więc niech się tak stanie, rzekł. Ale pozwól mi jeszcze spróbować pomówić z twoim ojcem. On nie wie...

— On wie o wszystkim. A ponieważ miłość nasza nie podoba się mu, a jeszcze bardziej mej macosze, dlatego właśnie chce mię oddalić od ciebie i przedsięwziął tę podróż dookoła świata.

— A jednak spróbuję.

— Dobrze, pomów z nim, a jeżeli odmówi, nie staraj się już dzisiaj zobaczyć ze mną. Jutro, przed południem, będę w Newhaven. Czekaj na mnie przy pomoście.

Szymon zapytał jeszcze:

— Izabello, a czytałaś dzisiejsze telegramy?

— Tak.

— Ta podróż morską nie przeraża cię?

Uśmiechnęła się. Wówczas Szymon skłonił się nisko, ucałował wyciągniętą rączkę i oddalił się bez słowa.

Lord Bakefield, pair Wielkiej Brytanji, w pierwszym małżeństwie poślubił prawnuczkę Jerzego III, obecnie szczęśliwy małżonek księżny de Faulconbridge, właściciel wielu zamków, kluczy, folwarków i miasteczek tak, że mógł, nie opuszczając prawie granic swych posiadłości, przenosić się z Brighton do Folkestone, był owym spóźnionym graczem w golfa, którego widzieli młodzi ludzie z terasy klubu. Wyniosła sylwetka jego przybliżała się, roztapiając się chwilami w zmierzchu przedwieczornym. Szymon postanowił, nie zwlekając, skorzystać ze sposobności i skierował swe kroki w kierunku terenów golfa.

Mimo przestrogi Izabelli i chociaż brzmiały mu jeszcze w uszach uwagi Edwarda o przesądach kastowych lorda Bakefielda, Dubosc ufał w pomyślny obrót rozmowy, gdyż ojciec panny okazywał mu zawsze wiele życzliwości i zainteresowania.

I tym razem podanie ręki było serdeczne i dobrodusze. Oblicze lorda Bakefielda zbyt krągłe i pełne w stosunku do ciała chudego i całej długiej postaci, bardzo czerwone i nieco wulgarne, rozjaśniło się uśmiechem zadowolenia.

— I cóż, kochany panie, zapewne przychodzi pan pożegnać się z nami? Dowiedział się pan o naszym jutrzejszym odjeździe?

— Tak jest i dlatego właśnie chcę poprosić pana o parę słów rozmowy.

— Doskonale! doskonale! Słucham pana.

— To mówiąc, nachylił się nad wzgórkim, usypał swemi rękami kopczyk piasku i umieścił tam swoją kulę, poczem podnosząc się, wziął z rąk nieodstępnego *caddie* swój kij, przybrał postawę, wysunął lekko naprzód lewą nogę i po paru próbnym zamachnięciach, by upewnić się co do kierunku, uderzył nagle z niesłychaną szybkością i wprawą.

Kula uniosła się w przestrzeń, najpierw skrzyła nieco w lewo, potem zawirowała w prawo, wymijając grupę drzew, tworzących przeszkodę i upadła na gazon, o parę metrów od jamy.

— Bravo! krzyknął Szymon. Doskonale udana kula.

— Nieźle! Nieźle! przytaknął lord Bakefield, idąc w kierunku kasyna.

Szymon nie dał się zbić z tropu tym dziwacznym sposobem prowadzenia rozmowy. Bez żadnych wstępów przystąpił do rzeczy:

— Zapewne wiadomo panu, że jestem synem właściciela stoczni w Dieppe i właściciela największej floty handlowej we Francji. Nie potrzebuję więc o tem mówić dłużej.

— Tak, znam ojca pańskiego, panie Dubosc. Dobry bardzo człowiek, o tak, bez zarzutu człowiek! W przeszłym miesiącu miałem przyjemność w Dieppe uściskać dłoń jego.

Uszczęśliwiony Szymon mówił dalej:

— Teraz o mnie słów parę. Jestem finansowo niezależny, posiadam majątek mojej biednej matki. Mając lat dwadzieścia, odbyłem przez Saharę lot bez zatrzymywania się. W dwudziestym pierwszym roku pobiłem rekord biegu na przełaj. W dwudziestym drugim roku byłem dwukrotnym zwycięzcą na Olimpiadzie w fechtunku i pływaniu. W dwudziestym piątym roku zostałem championem całego świata w konkursie atletyki. A w tym okresie przebyłem kampanję w Marokku, cztery razy otrzymałem pochwałę przed frontem, jestem porucznikiem rezerwy, odznaczonym medalem waleczności i medalem za ocalenie tonących. To wszystko. Ach, nie! Zapomniałem. Jestem licencjatem literatury i laureatem Akademii za pracę o pięknie w Grecji. Mam lat dwadzieścia dziewięć. Teraz już wszystko.

Lord Bakefield popatrzył na młodzieńca zukosa i wymamrotał:

— Nieźle! wcale nieźle, młody panie!

— Co się tyczy przyszłości, mówił dalej Szymon, powiem krótko. Nie lubię robić projektów. Jednakże chcę mnie wybrać na posła w miesiącu sierpniu. Hm, zapewne, polityka nie jest moim ferenem, nie zajmuje mnie zbytnio... Ale przecież, coś robić trzeba... Jestem młody... napewno wyrobię sobie stanowisko na świecie. Nieprawdaż? Jest jedna tylko rzecz... przynajmniej z pańskiego punktu widzenia. Nazywam się tylko Szymon Dubosc... Dubosc w jednym słowie bez przedimka... bez najmniejszego cienia tytułu... I... nieprawdaż?...

Szymon wyrażał się gładko, bez żadnego onieśmienia, tonem wesołym i beztroskim. Lord Bakefield wciąż nie odzywał się, ale twarz jego dalej wyrażała dobrotliwość. Dubosc zaczął się śmiać.

— Rozumiem dobrze sytuację i doprawdy wolałbym móc ofiarować genealogię bardziej skomplikowaną, z herbem, dewizą, tytułem i pergaminami. Niestety, to niemożliwe! Jednakże z biedą możemy i my wspominać naszych przodków z XIV wieku. Tak, milordzie, w roku 1352, Maciej Dubosc, parobek na folwarku klucza Blancmesnil, był skazany za kradzież na pięćdziesiąt kijów. Rodzina Dubosc nadal pracowała na ziemi. Folwark ten istnieje dotychczas, folwark „du Bose”, to jest „du Bosquet”, od bukietu, t. j. gaju drzew.

— Tak... tak... wiem... przerwał lord Bakefield.

— Aa? Pan? powtórzył Szymon, nieco zdziwiony, odczuł bowiem z miny starego dżentelmena i tonu jego, że wyjaśnienie będzie miało doniosłe znaczenie.

Lord Bakefield mówił powoli, cedząc słowa:

— „Tak, wiem... dziwnym przypadkiem. Będąc w ubiegłym miesiącu w Dieppe, zrobiłem tam małą ankietę, dotyczącą mojej rodziny, która pochodzi z Normandji. „Bakefield” bowiem, nie wiem, czy wiadomo panu, jest to po angielsku zepsute francuskie „Bacqueville”. Jeden z

Bacqueville'ów znajdował się między towarzyszami Wilhelma Zdobywcy. Czy zna pan ładną miejscinę tej nazwy w prowincji Caux? Otóż istnieje akt z XV wieku, podpisany w Londynie, a zarejestrowany w Bacqueville, mocą którego hrabia de Bacqueville, baron d'Auppegard i de Gourel nadaje wasalowi swemu, panu de Blancmesnil prawo sądu w folwarku Bosc... w tymże samym folwarku du Bosc, gdzie biedny Maciej otrzymał tęgą porcję kijów. Zabawne, ten zbieg okoliczności, co? Zabawne bardzo? Co pan mówi o tem, kochany młodzieńcze?

Tym razem Szymon uczuł się dotknięty do żywego. Trudno bowiem było z większą kurtuazją i bezczelnością dać odpowiedź bardziej impertynencką. Bez owijania w bawełnę, bez ogródek, pod pretekstem opowiedzenia drobnej anekdoty genealogicznej, lord Bakefield stwierdził, że w oczach jego młody Dubosc nie znaczy więcej, niż parobek w XV wieku w oczach potężnego pana angielskiego, hrabiego de Bakefield i suwerena de Blancmesnil. Wszystkie tytuły i championaty Szymona Dubosc, zwycięzcy na olimpiadach i laureata Akademii francuskiej, atlety i bohatera, wszystko to nie ważyło ani uncji na wadze, którą pair Anglii, świadomy swej wyższości, mierzy zasługi ubiegających się o rękę jego jedynaczki. A zasługi Szymona Dubosc były tego rodzaju, że wystarczyło za nie podziękować uśmiechem, grzecznością towarzyską i serdeczniejszym uściskiem dłoni.

Było to tak jasne i dusza starego arystokraty z całą swoją dumą, przesądami, uporem, wyniosłością i kastowością ukazała się tak bez obsłonek, że Szymon, nie chcąc doznać upokorzenia odmowy, zaczął mówić w tonie lekko ironicznym:

— Ma się rozumieć, że nie roszczę sobie bynajmniej pretensji, by zostać zięciem pana, zanim nie zasłużę na łaskę tę nadzwyczajną... Oświadczyły moje mają na celu

prosić o wyznaczenie warunków, jakie spełnić musi Szymon Dubosc, potomek parobka, by otrzymać rękę miss Bakefield. Przypuszczam, że Bakefieldowie, mający w rodzinie swej towarzysza Wilhelma Zdobywcy, mają prawo żądać od Szymona Dubosc, by tenże zrehabilitował się, zdobywając coś... coś jakby jakieś królestwo... by za przykładem wielkiego Bastarda, wylądował tryumfalnie w Anglii? Czy dobrze mówię?

— Coś w tym rodzaju, kochany panie, odpowiedział stary lord, zdumiony nieustępliwym atakiem.

— Może też, mówił Szymon, powinien on również spełnić jakieś czyny nadludzkie, wykonać prace dla dobra całej ludzkości? Więc najpierw Wilhelm Zdobywca, Herkules lub don Kiszot potem... Moznaby się wówczas porozumieć?

— Moznaby się porozumieć...

— I to byłoby wszystko?

— Niezupełnie.

Lord Bakefield, odzyskawszy już równowagę i zimną krew, rzekł dobrodusznie:

— Nie mogę ograniczyć wolności miss Bakefield na okres czasu bardzo długi. Musiałby pan zwyciężyć w czasie określonym. Czy uważa pan, że określając okres ten na przeciąg dwóch miesięcy jestem zbyt wymagający?

— Zbyt szlachetny! — zawołał Szymon. Dwadzieścia dni wystarczy mi w zupełności. Proszę tylko pomyśleć: w dwadzieścia dni okazać się równym Wilhelmowi Zdobywcy i rywalem don Kiszota! Naprawdę, okres ten jest zbyt długi dla mnie! Dziękuję panu z głębi serca. Do widzenia niebawem...

I dość zadowolony z obrotu sprawy Szymon odszedł w kierunku pawilonu klubu. Imię Izabelli nie zostało nawet wymówione w rozmowie.

— Więc jakże, zapytał go Edward Rolleston, czy oświadczyłeś się?

— Mniej więcej.

— A odpowiedź?

— Doskonała, Edwardzie, doskonała. Nie jest zupełnie rzeczą niemożliwą, by ten pocziwy człek, który tam właśnie znów uderza kulę i puszcza ją w ruch, nie stał się teściem Szymona Dubosc. Trzeba jeszcze załatwić drobiazg jeden... musi stać się coś... nie wiem co... jakieś niezwykle zdarzenie, kataklizm jakiś straszliwy, któryby zmienił oblicze ziemi. Oto wszystko.

— Słuchaj, Szymonie, odpowiedział Rolleston, takie zdarzenia są rzadkie.

— Więc w takim razie, kochany Edwardzie, musi stać się wola moja i wola miss Bakefield!

— To znaczy?

Szymon nie odpowiedział. Ujrzał właśnie Izabellę, wychodzącą z pawilonu.

Na widok jego, panna zatrzymała się. Byli oddaleni od siebie o jakie dwadzieścia kroków. We wzroku jej poważnym i skupionym malowało się uczucie. Zamienili ze sobą spojrzenie pełne obietnic miłości, oddania się, poświęcenia, szczęścia i pewności.

II.

NA MORZU.

Nazajutrz w Newhaven Szymon Dubosc dowiedział się, że dnia poprzedniego około godziny szóstej zatonął kuter rybacki z załogą ośmiu ludzi. Stało się to w pobliżu Seaford, małej stacji, oddalonej o kilka kilometrów. Stamtąd można było obserwować cyklon.

— Cóż, proszę pana, zagadnął Szymon znajomego kapitana okrętu, na którym mieli przepłynąć kanał La Manche, co pan myśli o tem? Znow zatonięcie! Czy nie zdaje się panu, że to wszystko zaczyna być niepokojące?

— Owszem, widzę to, niestety, odrzekł kapitan. Piętnastu pasażerów zrezygnowało z podróży. Obawiają się. A przecież jest to jedynie przypadek.

— Przypadek, który się powtarza zbyt często, panie kapitanie. A co groźniejsze, że to już na całym kanale La Manche.

— Na całym kanale znajduje się obecnie około kilku tysięcy statków. Każdemu z nich grozi pewne ryzyko, ale przyzna pan sam, że ryzyko to jest małe.

— A przeprawy nocne czy wszystkie się udały? zapytał jeszcze Dubosc, myśląc o swoim przyjacielu Edwardzie Rolleston.

— Doskonale — w obu kierunkach. I nasza podróż również będzie dobra. „*Reine-Mary*” jest to nadzwyczaj solidny okręt, bez trudności robiący swoich sześćdziesiąt cztery mile w niespełna dwóch godzinach. Odpłyniemy i przepłyniemy, niech pan będzie spokojny, panie Dubosc.